O własnych siłach

ORGAN SAMORZĄDU UCZNIÓW PAŃSTW. GIMNAZJUM II. im. A. Witkowskiego, w Jarosławiu.

Redakcja i Administracja: Gimnazjum II. w Jarosławiu.

Za Redakcję: Walatyński Wilhelm. Opiekunowie pisemka prof. W. Kunisz i St. Bator.

ROK VII. **Grudzień 1936.** **Nr. 2. (32)**

Apel do młodych.

Głowa do góry — a radość na twarzy,
gdy słońce zabłyśnie to cieszmy się nim —
niech się dziś martwią za nas ludzie starzy —
my — młodzież — nućmy jednolity hymn...
Precz żale, smutki i małe cierpienia —
rozniećmy w sercach uczuć szczerych żar —
pędźmy wciąż naprzód — pędźmy bez wytchnienia.
Bo przyjdzie starość — pryśnie życia czar —
łączmy się bracia — siostry — przyjaciele!
niech naszym celem będzie jeden cel —
„Bóg i Ojczyzna“ — głośmy wszędzie śmiele —
zanim przykryje nasze skronie biel...

Kamiński St. kl. VIIIa.

Przywilej młodości.

Przyszłość i potęga Polski — to my!
Wiara w nią — to wiara w nas!

Jesteśmy młodzi! Wszystko wokoło nas zmienia się, przemija i znowu powraca. Wszystko bawi nas i mami kolorami tęczy. Na każdej drodze pełno złud i miraży. Nie liczy-

my się z przeszłością — lekceważymy przyszłość. Żyjemy teraźniejszością... Młodości przywilejem albo raczej istotą jest stałe odnawianie życia. Żadna wielka reforma nie ma widoków powodzenia, jeżeli nie rozpoczyna się od młodzieży. Do najzawilszych w historii należy szesnaste stulecie. Europa przeżywała skutki odkrycia Ameryki, wynalezienia druku przez Jana Gutenberga, nowych środków wojennych. Wszystkie dziedziny życia przechodziły ferment zapowiadając nowy czas. Zdawało się, że pękły dotychczasowe hamulce i rygory. Jakiś szał ogarnął wszystkich i wszystko. Kościół katolicki zmobilizował wówczas wszystkie siły, by ową burzę dziejową przetrwać, a na opętańczych „geniuszów" przewrotu odpowiedział uaktywnieniem życia religijnego, intensywną pracą na zagonie ludzkości. Zajaśniało między innymi wtedy zgromadzenie zakonne T. J. założone przez św. Ignacego Loyolę. Jaką odegrało rolę, co znaczy w ekonomice Kościoła do dzisiaj, o tym świadczy najlepiej nienasycona nienawiść zwalczająca je stale.

Reformę narodów rozpoczęto od młodzieży. Początek dzieła był bardzo skromny, istne ewangeliczne ziarnko gorczyczne. Młody profesor gramatyki w Collegium Romanum, Jan Leunis, pochodzący z Liège, począł w roku 1563 gromadzić co sobotę lepszych, nie zadawalających się pospolitą przeciętnością uczniów na popołudniową modlitwę. Oto początek nowego dzieła, oto zawiązek sodalicyj mariańskich. Odtąd zaczęło się dziać coś niezwykłego. Grono młodzieży zaczęło się rozrastać jak winna latorośń w olbrzymią organizację. Cała tęsknota za czymś pięknym, wielkim, szlachetnym ucieleśniła się w tym ruchu. Tajemniczy wstrząs targnął narodami. Iskra zapału zaczęła w całym ówczesnym świecie chrześcijańskim rozniecać płomienie, wypalające nagromadzoną podłość, kłamstwo i obrzydliwy egoizm.

Hasłem ruchu sodalicyjnego stała się walka z pospolitością, dążenie na szczyty. Łączyła Sodalisów jedność celu, jedność kierownictwa, najczystsza przyjaźń, stwarzająca potęgę solidarnej opinii. Skupiały się sodalicje około błękitnego sztandaru Marii. W Jej imię wychowując nowego człowieka,

a tym samym, odnawiając z gruntu naród, do którego należał. Sodalis stał się typem człowieka radosnego, twórczego, czynnego, czerpiącego z jędrnej męskiej modlitwy, ze stałej łączności z Eucharystią ochotę do pracy, gotowość do ofiary i poświęcenia bez uroczystego patosu, bez namaszczonej pozy. Służba poprostu i obowiązek!

Przyszedł niebawem okres próby. Zewsząd wielka złość rzuciła się na ruch sodalicyjny. Ale nic nie powstrzymało wspaniałej lawiny, druzgocącej zło i marnotę. Czas najwyższy ku temu, ażeby sodalicyjne ideały i wiecznie aktualne hasła znalazły żywy oddźwięk w duszach młodzieży, tym bardziej, że młodzież polska potrzebuje, zwłaszcza dziś, potężnej, zwartej modlitwy, tytanicznych czynów i nieubłaganej, zdrowej, powszechnej opinii. Pora ku temu dzisiaj najodpowiedniejsza i z tego względu, że właściwie grudzień zamyka stary okres naszej historii; zamyka on również okres przeszło dwunastoletniej pracy naszej sodalicji na terenie gimnazjum. Fakty te winny nas pobudzić do rozważenia wielkich, decydujących o przyszłości problemów. W bramę Nowego Roku 1937 wkroczyć winniśmy z kapitałem nowych walorów i wartości twórczych, spotęgowanych umiejętnym zużytkowaniem wszystkich szlachetnych, rentujących się materiałów, jakimi rozporządza młodość!

Ka Jot kl. VIIIb.
Sodalis Marianus.

Wspomnienia z obozu „P. W."

Tegoroczny obóz „Przysposobienia Wojskowego" w Grodowicach obfitował w wiele pięknych i nowych dla nas przeżyć, które będą dla każdego miłym wspomnieniem na całe życie. Już w Jarosławiu mieliśmy przedsmak wojskowego, żołnierskiego życia, które mieliśmy wieść przez przeciąg trzech tygodni. Najpierw badanie lekarskie, a następnie umundurowanie i wręczenie broni uczyniło z nas prawdziwych żołnierzy, choć do wdrożenia „studenckiej braci" do dyscypliny i karności było jeszcze bardzo daleko. Gdy nadeszła

chwila odjazdu, mieliśmy możność śmiać się i krytykować jeden drugiego co wlazło, bo był do tego powód...

Niejeden z kolegów, umundurowany i obwieszony rynsztunkiem w rodzaju starych, zniszczonych plecaków i jeszcze gorszych chlebaków, podobnych raczej do torb żebraczych, niż części żołnierskiego rynsztunku, wyglądał niezwykle zabawnie i charakterystycznie, co pobudzało jego towarzyszy do żywiołowej wesołości. Wygląd zewnętrzny czynił nas żołnierzami, ale obchodzenie się z bronią i częściami umundurowania pozostawiało dużo do życzenia i było wymownym faktem, świadczącym o braku podstawowych znajomości wojskowych.

— Na którym boku ma być zawieszony chlebak? — Gdzie zawiesić manierkę? — Co zrobić ze zwisającym z plecaka pasem? — W jaki sposób przymocować menażkę? — oto pytania, które można było usłyszeć na każdym kroku. Pouczenia instruktorów miały ten skutek, że jeden nadal nosił chlebak na prawym — drugi na lewym boku; jeden przymocował menażkę do plecaka, drugi schował ją do środka, co sprawiało wrażenie dopiero co zwołanege pospolitego ruszenia. Alo te wszystkie braki nie zdołały wpłynąć na zmianę usposobienla i ograniczyć ogólnego dobrego humoru. Wesołe rozmowy i śpiewy towarzyszyły nam przez całą drogę i nie opuściły nas także na miejscu.

Maszerując ze stacji w Grodowicach w kierunku widniejących w oddali namiotów, mogliśmy po raz ostatni może dać upust swej wesołości i swobodzie. Rozbite nad rzeką Strwiąż, na rozległym błoniu, białe namioty, nęciły nas swym widokiem i nadzieją wypoczynku po męczącej bądź co bądź drodze. Walka o lepsze namioty, a następnie o łóżka i sienniki, zapełniła pierwszy dzień naszego pobytu w obozie. Jarosław, jako piąta kompania, został podzielony na pięć drużyn, z których każda otrzymała jeden namiot i dowódcę w osobie drużynowego. W skład drużyny trzeciej, która później odegrała w kompani rolę decydującą, weszła niemal wyłącznie klasa VIIIa, która stworzyła odrębne, zamknięte koło. Organizacja trzeciej drużyny ujawniła się już w plerwszym dniu, kiedy

to toczyła się zaciekła walka o łóżka i sienniki między poszczególnymi grupami. Wóz, na którym przywieziono wypchane sienniki, był formalnie oblężony, a wreszcie przewrócony naporem ciał ludzkich, stał się widownią zaciekłych walk o sienniki, z których nie zawsze wychodziło się z całymi kostkami. Drużyna trzecia nie brała udziału w tych zapasach, lecz zaczajona w namiocie, wypadała nagle i Junakowi z innej kompanii, szczęśliwemu ze zdobycia siennika, porywała zdobycz, a następnie jak kamień w wodzie znikała w czeluściach swego namiotu. Skutek takiego postępowania był taki, że już na pierwszą noc wszyscy mieli łóżka i sienniki, podczas gdy w reszcie obozu większość spała na gołych deskach albo na ziemi. Ale swoboda nasza skończyła się z pierwszym już dniem. Rozpoczęły się zbiórki, w ilości kilku na godzinę, musztry i ćwiczenia. Początkowo „Junacy“ nie mogli ani rusz zrozumieć, że karabin jest świętością, z którą należy obchodzić się jak z najlepszym przyjacielem, nie wolno nim rzucać ani wlec po ziemi. Często zdarzało się, że na komendę — „padnij“ — karabin wylatywał gdzieś na bok, a „Junak“ powoli kładł się na ziemi, aby broń Boże nie poubijać sobie kości lub nie powalać ubrania. Z czasem jednak wszystko się zmieniło i każdy rozkaz był w mig, bezwzględnie wykonywany. Chwyty bronią były tak wykonywane, że zawstydziłyby niejedną kompanię honorową lub podchorążówkę.

Celowała w nich kompania piąta, która wykonywała chwyt bronią tak, że wszyscy „Junacy“ z innych kompanii rozdziawiali gęby, a nasz kapitan rósł z zadowolenia jak na drożdżach i mówił — „kupcie sobie chłopcy te chwyty“. — Na te słowa przybierali oni takie miny, jakby im zaproponowano co najmniej kupno Ameryki. Musztra i umiejętne urządzenie ogniska uczyniły kompanię piątą sławną w obocie i zjednały jej uznanie i podziw.

Z najlepszego wykonywania chwytów bronią i musztry słynęła drużyna trzecia, którą zaangażowano na drużynę pokazową i stawiano za wzór innym. — Ale nie mogąc podzielić się w zupełności wrażeniami, doznanymi w ciądu krótkiego stosunkowo czasu, ograniczę się jeszcze do opisu dnia

w obozie i przebiegu alarmu.

— Pobudkę grano już o godzinie pół do czwartej Na głos trąbki i wołania drużynowego, by stawać na zbiórkę do gimnastyki porannej, namiot budził się ze snu. Wstawaniu towarzyszyło ogólne ziewanie i od czasu do czasu rzucone słowo przekleństwa. Gimnastyka po rosie, w stroju kąpielowym, nie cieszyła się u nas popularnością i każdy starał się w miarę możności „przeszwarcować" i pod jakimkolwiek pozorem jej uniknąć. Po gimnastyce ubierano się do ćwiczeń, kompania stawała do modlitwy, następowało podniesienie flagi i raport, a wreszcie ruszano na ćwiczenia, trwające da godziny 10-tej.

Po powrocie było śniadanie złożone z kawy, która smakiem (jeżeli to można było wogóle mówić o smaku) przypominała zabarwioną na kolor czekoladowy, przegotowaną wodę, — z kawałka razowego chleba, który czasami był tak znakomicie upieczouy, że ośródką można by zalepiać szpary w ścianach budynku albo kitować okna. Z czasu wolnego korzystaliśmy rozmaicie: jedni szli do namiotu „zasychać", inni biegli kąpać się w rzece lub grać w siatkówkę, piłkę nożną albo w karty za namiotami. O godz. 12-tej odbywała się zbiórka na obiad składający się zawsze z jakiejś zupy, w rodzaju grochówki lub krupniku, gulaszu z ziemniakami i kapustą oraz „roztworu" herbaty (która zapewne wcale nie widziała cukru).

Obiad obfitował w wiele humorystycznych momentów, na które składało się wykrycie pewnych własności otrzymanych dań. Mięso było tak twarde i stare, że wyciągnięcie z niego zęba było sztuką nielada, którą mógł się poszczycić tylko tęgi „żarłok", a grochówka okazywała się tak niestrawną, że płótna namiotów z trudnością wytrzymywały ciśnienie atmosferyczne, panujące we wnętrzu i czasami groziły pęknięciem. Po obiedzie następowały znowu ćwiczenia, trwające mniej więcej do godziny 6-tej...

Kolację poprzedzała krótka gimnastyka i wszelkiego rodzaju gry. Po kolacji, złożonej zwykle z takich potraw, jak grochówka lub kapuśniak i czarna kawa, kompanie stawały

do rozkazu, a w chwilę później do apelu i modlitwy. Zwyczajnie urządzano wieczór ogniska, na które składały się wszelkiego rodzaju popisy i przedstawienia, mające ua celu zabawienie i rozweselenie znużonych ćwiczeniami „Junaków". Ukończenie ogniska było hasłem do snu, który mógł być lada chwila przerwany głosem trąbki, wołającej na alarm. Przebieg alarmu jest zjawiskiem ze wszechmiar zasługującym na uwagę.

Głos trąbki alarmowej zamieniał w jednej chwili cichy i zamarły jakby obóz w istne piekło, wszczynał się ruch i zamieszanie w poszczególnych namiotach, rozlegały się okrzyki i wołania, szukano na gwałt ubrania i butów, które jak na złość gdzieś znikły, jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej.

— Gdzie moje buty diabli wzięli? — irytował slę jeden.

— Kto widział moją furażerkę? Położyłem ją wieczór na półce, a teraz jak w wodę wpadła? — biadał inny.

— Niech to piorun trzaśnie — klął inny. Kłoś zamienił mi buta i teraz ani rusz nie mogę nogi wsadzić, bo zamiast pary, mam dwa lewe?

— Ktoś wziął moją menażkę! Leżała na półce!

— Zaśmiał się ktoś i rzekł — wczoraj stała na półce jakaś brudna menażka i drużynowy wyrzucił ją pod maszt. Idź — może znajdziesz!

Tymczasem rozległ się głos drużynowego, wołający na zbiórkę. Każda kompania chciała pierwsza być gotową, by uzyskać od dowódcy obozu pochwałę. Wszczęło się jeszcze większe zamieszanie, szukano swoich karabinów, z pośpiechem ubierano plecaki i wszyscy na wyścigi pędzili na zbiórkę. Pośpiech zrobił swoje — kompania piąta pierwsza stanęła pod masztem, za co uzyskała zasłużoną pochwałę ku zazdrości reszty. Po złożeniu przez dowódcę kompanii raportu, kompania piąta, krokiem sprężystym i miarowym ruszała na nocne ćwiczenie.

„Hej strzelcy wraz

Nad nami orzeł biały" — wyrwało się naraz z młodzieńczych piersi, aż się echo rozległo po okolicy. Cisza pa-

nowała wokoło, tylko od czasu do czasu, przechodząc obok jakiejś przydrożnej chaty, mogliśmy zauważyć, jak przez uchylone drzwi wyjrzała rozczochrana głowa zbudzonego ze snu wieśniaka, by popatrzyć, co się dzieje i kto to tak śpiewa. A śpiew rozbrzmiewał coraz potężniej.... powtarzały go okoliczne pagórki.... naśladowały lasy....

uczestnik obozu
Puk Tadeusz VIIIa.

Trzecia klasa tańczy.

Nadeszły wreszcje tak dawno oczekiwane lekcje tańców, przyjęte przez wszystkich z radością.

Był wprawdzie jeden taki co na lekcje chodził z musu i wcale do tego ochoty nie miał, ale o mniejszości nigdy dużo się nie pisze. Dlatego więcej napiszę o tych chętnych.

Mijały lekcje jedna za drugą, poznawaliśmy coraz to nowe tańce i figury. Jednak, czasem nie pomogą i najlepsze chęci. Do tańca jak to mówią, trzeba mieć „dryg". Nie ma człowieka genialnego we wszystkich kierunkach.

Zbliżał się powoli 19-ty listopad. Był to czwartek, który utkwił nanr dobrze w pamięci.

Przyszliśmy o godzinę wcześniej „na wszelki wypadek". Każdy z nas uzbrojony w lusterko i grzebyk, w galowym mundurze, przecinał powietrze ostrymi kantami spodni. Poprawianiem fryzury i garderoby staraliśmy się skrócić czas oczekiwania. Wreszcie pierwsze dźwięki orkiestry, (która i dziś nie była w komplecie) pociągnęły nas do świetlicy i zaczęliśmy tańczyć. Na razie sami z sobą. Potem przyszła III-cia klasa żeńskiego gimnazjum. Przed chwilą tacy odważni, cofnęliśmy się w kąt.

— „Panowie proszą panie" — usłyszeliśmy głos kolegi Dyżewskiego. Jakby nas przyśrubowało do podłogi; żaden się nie ruszył. Dopiero paru starszych kolegów uratowało sytuację. Gdyśmy ich zobaczyli jak odważnie podchodzą i proszą koleżanki do tańca, ruszyliśmy ośmieleni całą falą i po chwili wśród nas nie było „pietruszkujących".

Cóż kiedy to trwało tylko godzinę. Rozeszliśmy się z myślą, że w sobotę będziemy mieć 6 godzin do tańczenia i tym przygłuszyliśmy żal, że się to wszystko już skończyło.

Sobolewski Antoni kl. III.

Boże Narodzenie górali.

Piękne są zwyczaje polskiego narodu związane z uroczystością Bożego Narodzenia. Tu należy rozścielanie siana na stole, łamanie się opłatkiem, chodzenie z szopką i inne.

Nie tak serdeczne, ale również piękne zwyczaje mają i inne narody. Najładniejsze jednak zwyczaje świąteczne mamy my Polacy. Szczególnie ciekawie przedstawiają się zwyczaje naszych górali. Okres świąteczny zaczyna się u nich od dnia św. Łucji. Na ostatnim targu przedświątecznym zakupuje gaździna wszystkie potrzebne sprawunki na Gody. W wieczór przedwigilijny zaczynia w dzieży mąkę na chleb, przy czym wzdycha serdecznie i skrapia niekiedy mąkę wodą święconą, aby ciasto pięknie rosło. W sam dzień wigilijny ma gaździna najwięcej pracy. Musi się więc zwinąć na jednej nodze, aby wszystko na czas przygotować. Wszyscy tego dnia muszą wstrzymać się od potraw gotowanych aż do wieczerzy wigilijnej. Gaździna w dniu tym uracza domowników pieczonymi ziemniakami i świeżym podpłomykiem z białej mąki, Gazda zaś przygotowuje na święta dostateczną ilość sieczki dla bydła i drzewa oraz krząta się około gospodarstwa domowego.

Skoro ukażą się na niebie gwiazdy, dziewczęta zamiatają starannie izbę. Na dany przez gaździnę znak wszyscy padają na kolana i odmawiają: „Ojcze nasz“ i „Zdrowaś Mario“ dziękując Bogu za łaskę doczekania uroczystej pamiątki Bożego Narodzenia. Przed jedzeniem łamie się rodzina opłatkiem w milczeniu. Najwyżej gazda odezwie się — „Dejze Boze scęśliwie dockać drugie wilije“. — Wtedy wszyscy wtórują: — Ej wiera, dej tyz Boze, dej...

W czasie wieczerzy kładzie córka gazdy na stół wielki

bochen chleba. Najstarszy zaś syn sypie pod bochenek garść każdego gatunku zboża. Ojciec natomiast kraje każdemu dużą kromkę chleba do przegryzania do kapusty przez wszystkie dni aż do Nowego Roku. Po wieczerzy następuje pacierz, po czym generalne mycie głów. W międzyczasie gazda idzie do sadu obwiązywać słomą wigilijną drzewa owocowe, aby dobrze rodziły. Później następują kolendy i pastorałki, a wreszcie — Pasterka.

Rozkrut Henryk kl. III.

Wycieczka harcerska do Gdyni.

(Fragment) c. d.

Strach zdejmował każdego, kto spojrzał na ten żywioł straszny, dziki i rozpętany w swoim łonie. Strach jaki udzielał się nam kazał dalej uciekać i to jak najszybciej i najdalej od tego miejsca i wroga czyhającego na naszą zgubę. — Ale jaki znaleść środek ocalenia, gdzie szukać beznadziejnej pomocy i gdzie w końcu zmykać — myśli, jak schwytane ptaki tłukły się i kłębiły w wyczerpanych mózgach i nadaremnie same w sobie szukały środków ocalenia. Bo i gdzie! Wpadliśmy w „oko“ burzy i tylko jakiś nadludzki wyczyn mógł nas stamtąd wyprowadzić. Ale o „nadludzkich wyczynach“ my zwykli śmiertelnicy, nie mogleliśmy nawet marzyć, nie mieliśmy nawet szans do tego potrzebnych, jak siła, gdyż byliśmy fizycznie zdruzgotani.

F...f...i...i...u...u....., f...f...i...i...u...u..., świszcze wezbrany tętnem swym huragan. Płynie w szaleńczych pląsach nad naszymi głowami, chwyta w swe długie ruchliwe szpony masy deszczu i lodu i chichocząc i wydając z siebie wściekłe dysonanse, rzuca się z tą bronią na nas i chłoszce i bije zmarznięte postacie, jak rózgą diabelską.

Pod nami kipi i wre wzburzona rzeka, wścieka się w swoich namiętnościach jak dzika bestia i rzuca „nami“ we wszystkie strony. Słuchamy tej strasznej dla nas muzyki

połączonej z akompaniamentem huku piorunów, słuchamy i zamykamy oczy nie chcąc widzieć tego. Każdy z nas zdaje sobie w tej chwili sprawę, że jest z nami źle i pod wpływem tego „źle“ włosy mi stają dęba i truchleję ze strachu. Powoli zaczynam uświadamiać sobie zdrowym umysłem, że nie ma dla nas wyjścia z tej zasadzki zgotowanej przez przyrodę. Jakżeż żałowałem w tej chwili, że nie zgodziłem się na bezpieczne lądowanie jeszcze przed burzą. Robiłem sobie wyrzuty, ale zapóźno uderzyłem w pokorę.

— A burza szalała na dobre. Kajak nasz nie kierowany już przez nikogo wędrował jak zbłąkana owca. Raz spadał w dół to znowu wypływał na szczyty fal, nędzny, złamany, bezbronny. Byliśmy bezsilni wobec tych wypadków i zrozpaczeni swoim położeniem. W tych szaleńczych pląsach na chwilę zapomniałem nawet „czem jestem“. Ale nie zapomniało moje harcerskie sumienie, mój skautowski duch, do czego jestem przynależny, owszem wystąpił hardo i wyzywająco w swej obronie w postaci „głosu wewnętrznego“. — Harcerzu, mówił wychodząc jakby z księgi praw i ślubowań związkowych — jak możesz plamić swoj honor i ambicję druha, jak możesz się sprzeniewierzyć naszym zasadom i ideom? Czy chcesz być... Rzuciłem się jak złapany zwierz na mokrym siedzeniu, pod brzmieniem tej klątwy zerwałem się na moment, lecz upadłem znowu i jęknąłem bezsilnie. Cóż miałem biedny robić. Byłem fizycznie złamany i już niezdolny do dalszej walki i obrony. Jeszcze kilkakrotnie buntował się mój honor harcerski przeciwko „żelaznej przemocy“, lecz po każdym takim występie jęczał zraniony w serce swej istoty. Nie zginął, o nie, czekał tylko chwili odpowiedniej, by po raz setny zerwać się z uwięzi i w nierównej walce z wrogiem, zwyciężyć. Wszystko to dotychczas rozgrywało się w szalonym tempie, tak prędkim, jak można tylko uchwycić myślą.

— Nastaje teraz dla nas chwila ciężkiego oczekiwania, tym cięższa im bardziej każda sekunda i minuta wydłużały ją. Błędnymi od wilgoci oczyma spojrzałem na słonko, z niego przeniosłem je w boki i z przerażeniem skonstato-

wałem, że tamte dwa kajaki zniknęły. O Boże!... Z bezsilną rozpaczą wytężałem wzrok chcąc przebić nim ławicę strug i odnaleźć zaginionych druhów. Napróżno, wokół tak szaro, że nawet w promieniu kilku metrów od kajaka nie można było się zorientować. Po tym odkryciu, zwątpiłem do reszty w ocalenie i z rezygnacją czekałem na koniec.

Lecz owego dnia nie było nam danem zginąć w tej katastrofie żywiołu, nie byliśmy przeznaczeni na ofiary burzy i wkrótce mieliśmy z niej wybrnąć. Bo jak zwykle w takich niebezpieczeństwach, w krytycznej niemal chwili, przychodzi do głowy zbawienna myśl, która jest tak silna, że dotychczas błądzącego człowieka wyprowadza cało i szczęśliwie z całego labiryntu przeszkód i niepowodzeń. — Rzecz podobna miała się i z nami. — A było to tak. — Staszek najlepszy druh i współpasażer, który dotychczas nie dawał znaku życia, tylko siedział skulony i „złamany“ tak samo jak i ja, nagle „czymś“ tknięty odwrócił się szybko w moją stronę i krzyknął: Żagle!

Żagle — powtórzyłem wpół przytomnie i nagle uprzytomniłem sobie, że je mamy. Podskoczyłem ze wzruszenia. Wszak mając taki popęd jakim jest huragan można lawirować wśród bałwanów i uciekać naprzód. Otucha i nadzieja zaczęł wstępować w nasze dusze. Liczyliśmy o ile nie na zupełne zwycięstwo, to przynajmniej na możliwe ocalenie. I myśli swe postanowiliśmy wprowadzić w czyn, w prawdziwy fakt. Gorączkowo więc ręce nasze zaczęły pracować przy maszcie. Gotowe! Spojrzałem z triumfem w oczach i pewną dozą ironii na burzę i rwała nam się dusza do tych spienionych fal, śpiewała przy wtórze szalejącego wiatru melodię wyzwania dla tych mas, ciężko i głośno płynących. Frunęły w górę białe płachty żagli. Załopotał nimi chyży wiatr, napiął je kilkakrotnie tak, że aż zaskrzypiał maszt, zwinął dokoła niego, zebrał się w nich znowu i całą siłą swą popędził kajak naprzód.

Pomknęliśmy z szybkością strzały wypuszczonej z łuku; wiatr który teraz zaczął dąć z południowego-wschodu nadawał takie tempo kajakom, że aż świstało w uszach. Pędzimy

wprost z zawrotną szybkością. Burza... Wiatr z ciężkimi kroplami deszczu chłoszcze nas po nagich plecach. Zimno diabelskie... Od czasu do czasu zabłyśnie, uderzy piorun i znowu szum, jęk wiatru i piekło w uszach. Tylko grzmoty powtarzają się częściej, tylko ich głosy jak klekot kości kościotrupów spadają z groźnych chmur i spadając w tysięcznyco kaskadach grzmią strasznie i głucho.

Hej przykryj się, krzyczy z przodu kajaka Staszek — głos nienaturalny zda się, wychodzący z głębi rzeki, z łona wichru i mas lodu, miejscami przerywany dobiega mnie tylko w strzępach słów, który miałem wrażenie, że pochodził z krtani topielca.

Przykryj się... Słowo to odbite od moich uszu i trącone wiatrem skonało. Tak dobrzeby było przykryć się czymś, ale czym myślę sobie, wszystko przecież mokre, nawet skrawka nie ma suchego. A po drugie nie ma na to czasu, więc nie mogę. Staram się bowiem z ogromnym wysiłkiem z mojej strony nadawać jako taki kierunek kajakowi, choćby tylko dlatego, aby nie wpaść przypadkiem na brzeg, a przy tym nie rozbić się. Lecz najlepsze moje chęci i zamierzenia niweczy wkrótce „większa siła“ niszcząc nam ster, a ja po tej ostatniej klęsce „kapituluję“ zupełnie.

Tymczasem nasz nieszczęśliwy kajak z równie nieszczęśliwymi pasażerami „leci“ dalej i to w „niewiadomym dla nas kierunku“. Na szczęście nasze i moje płynął dobrze, bo gdyby było przeciwnie to niewątpliwie, że już musielibyśmy pływać i borykać się z falami.

Burza przybrała teraz punkt kulminacyjny; szaleje tak jak tajfun, lub ja wiem co. Nie da się jej opisać słowami nawet w przybliżeniu. Błyskawice i pioruny stwarzają istne piekło! Nigdy dotychczas nie widziałem tak rozpętanego żywiołu, — nawet i starzy ludzie we wsi, z którymi później rozmawialiśmy mówili, że takich wypadków w przyrodzie nie przeżywali od kilkudziesięciu lat. — Wprost przerażające! Nawet we mnie rozgrywała się taka tragedia; w przymkniętych oczach miałem pełno wody, i setki różnych kolorów z przewagą czerwonego.

W głowie zaś same tylko splątane myśli, cały zapas chaosu psychicznego i innych jeszcze nie normalnych objawów, o których lepiej, że zamilczę. Już nie myślałem o Staszku, chwilami nawet zatracałem świadomość tego, gdzie się znajduję — jeno trzęsąc się jak w febrze modliłem się. Tymczasem, zwolna, acz i pewnym ociąganiu się, zaczęła słabnąć siła huraganu. I już miałem nadzieję... w tym t..r..r..a..a..ch.. i stop. Leżymy ze Staszkiem w wodzie... Zerwalismy się... płytko. Tylko kajak leży na prawym boku i „pije“ wodę... Poskoczyliśmy i wspólnie ze Staszkiem unormowaliśmy jego spoczynek.

Byłem fizycznie wyczerpany, więc długo nie mogłem utrzymać się na nogach, które w końcu odmówiły posłuszeństwa waląc trzęsące się z zimna ciało w rozfalowane nurty rzeki. Upadłem jak podcięte drzewo, lecz niemal w tej samej sekundzie podniosłem się, czmychnąłem do wody, i z radosnym okrzykiem podążyłem w stronę głębin, by tam zanurzony cały, oddawać się rozkoszom ciepłej kąpieli. Staszek, widząc to poszedł za moim przykładem i tak wespół z nim nurkowaliśmy zawzięcie...

A burza nasyciwszy się swoją ofiarą zaczęła się uciszać... poszła dalej na północ i tylko grzmotem lub krótką błyskawicą dawała znać, że żyje, że działa gdzieś dalej na terenie jeszcze nie zajętym i cichym. Przeszła i poszła.

I słońce lipcowe ukazało swój krąg z za ostatek pierzchających bałwanów; wiatr ucichł, a promienie „Apollina“ jak spadające motyle zalały swym blaskiem i ciepłem zroszoną ziemię i niosąc jej nowe bez skazy życie śpiewały radosny i mocny hymn friumfu i chwały. — Wraz ze Staszkiem wyszedłem z wody, wykonałem kilka gimnastycznych ruchów i zwróciłem pałające już życiem oczy na świeże jeszcze „pobojowisko“. Wzrok puszczony z wodzy błądząc, zaczął szukać zaginionych druhów... Rety krzyknąłem naraz w podnieceniu, czy tu . . tutaj.

Niedaleko miejsca w wodzie, gdzie się kąpałem widać było cztery męskie głowy, a dalej za małą wyrwą brzegową kajaki. Radości nie było końca, wzajem opowiadaliśmy sobie

swoje straszne chwile niedawno przebyte, że w tym miłym rozhoworze zbieraliśmy się do odjazdu w kierunku ujścia Sanu. I znowu zapanowała radość! Wykąpani i osuszeni, śpiewając wezbranymi wdzięcznością sercami Hymn Harcerski „O Panie Boże Ojcze Nasz"... ruszyliśmy pospołu kierując się ku wodom prastarej Wisły.

uczestnik wycieczki
Pałczyński Władysław *VIIIa.*

„Święty Mikołaj był..."

— Dokąd tak pędzicie wariaty?

Dwie uczniowskie postacie zatrzymały się nagle w miejscu — powoli odwróciły się głowy z grymasem ubolewania na twarzy. Przez zęby wycedzili równocześnie słowo „laik..." Odwrócili się i popędzili dalej wołając „przecież to dzisiaj św. Mikołaj". Niefortunny intruz zawstydził się, przyśpieszył kroku szukając po kieszeniach „grosików". Gdy skręcał do gimnazjum, zobaczył wychodzące z niego uczenice i uczniów, zmartwił się bardzo i już chciał się wrócić, ale coś go tknęło, więc spytał się przechodzącego właśnie kolegę, czy już jest po św. Mikołaju. Zagadnięty zajmował się właśnie rozpakowywaniem pakunku, który dostał od... św. Mikołaja (?), więc odburknął niegrzecznie — „no pewnie". Speszony tak odmienną od poprzedniej odpowiedzią, zrobił przepisowe w tył zwrot i podśpiewując sobie jakieś tango, skierował swe kroki do kina, gdzie grali jakiś „starszawy" kawałek. Biedny! Gdyby wiedział, co w gimnazjum się dzieje. Gdyby wiedział, że św. Mikołaj właśnie opóźnia się pół godziny, że depesze między Niebem i Gimnazjum, że już lada chwila...

Słychać warkot motoru, samolot św. Mikołaja kołuje nad Gimnazjum szukając wolnego od kominów miejsca na dachu. Wreszcie z łoskotem ląduje, za chwilę wpadają diabły „roznosząc popłoch i zniszczenie", za nimi poważnie kroczy św. Mikołaj. Jak widzimy, Niebo idzie również z duchem postępu. Św. Mikołaj jest w pilotce i bundzie tak, że tylko

patrialchalna broda zdradza wielkiego świętego. Po przywitaniu, idzie się przebrać, a tymczasem...

...Co pani płacze? No mnie bardzo przykro, więc Pani nie chce dać syna do lotnictwa — wielka szkoda, ale trudno — całuję rączki".

...Kolega Owens bawi publiczność monologami, które odgrywa tak wspaniale, że wszyscy „pękali" ze śmiechu. Po wesołych monologach spotyka wszystkich rozczarowanie. Miała to być niby wesoła rewia a tu na scenie rogrywa się jakaś tragedia — pani i wariat, jekieś wyznanie „zawiedzionej miłości - tylko powtarzane słowa „ale niech pani gra", wywołując pewną wesołość. Nagle przychodzą dozorcy z domu wariatów, znajdują wariata, wypraszają panienkę do innego pokoju, wariat przestaje być wariatem — złodzieje wynoszą wszystkie meble i... koniec. Nie, to jeszcze nie koniec, cała widownia trzęsie się ze śmiechu, grzmią oklaski.

Następuje uroczysta chwila, św. Mikołaj rozdaje podarunki. Więc naprzód Profesorom, którzy nie byli na poprzednich przedstawieniach. Ks. Prof. dostaje dłoń z palcami z wierszykiem następującej treści:

Za egzorty i spacerki
W ciągłej jesteś z nami walce,
Wybacz młodości te usterki
Na nas prosimy, patrz przez te palce.

Później czytają wierszyki dla innych Profesorów, ale ich niema, więc św. Mikołaj poleca oddać im podarunki nazajutrz. Naturalnie była to prawdziwa uczta zemsty uczniów nad Profesorami. Po tym następuje „zemsta" nad pewnymi uczniamt, więc znany „Waju" dostaje na polepszenie głosu jajo, „głodomór" dostaje parawan, aby mógł swobodnie na godzinach jeść itd. Wszystkie te podarunki pochodziły z klasy VIIa, a inne — tylko te „fajne" — również pochodziły z VIIa. Wreszcie św. Mikołaj rozdaje zwyczajne podarki, między którymi nie brak dosyć wesołych, jak szczudła i nie brak również smoczków dziecięcych dla tych, którym się to należało. Nadmienić należy, że to co było główną przyczyną urządzenia św. Mikołaja, czyli obdarowanie

ubogich dzieci odbyło się dnia poprzedniego. Rozdano podarunki 23-trzem dzieciom, które to podarunki zebrali Harcerze i Straż Przednia za co należy im się pełne uznanie. Po rozdaniu podarunków św. Mikołaj schodzi na widownię, aby przypatrzeć się dalszemu programowi przedstawienia. Wystąpienie mandolinistów było rozpoczęciem drugiej części przedstawienia. Naturalnie pierwszorzędne wykonanie dwu utworów zjednało im serca wszystkich słuchaczy. Coś bardziej nowocześniejszego od skeczu pt. „Nowy wynalazek", pokazali koledzy Owens i Kair w satyryczno-humorystycznym skeczu pt. „Bezrobotny". Skecz ten był świetną inscenizacją powiedzenia „Jak chcesz psa wypędzić, kij zawsze znajdziesz", a artystyczne wykonanie spotkało się z ogólnym poklaskiem. Po tym arcywesołym skeczu wystąpili nasi „rewelersi", których niesłusznie konferencier porównał z chórem Dana, gdyż chór ten nie ma się co równać z naszymi „rewelasami" — (a może odwrotnie)... Gdy wspomniałem już o konferencierze, to muszę dodać, że „pracował on jak wół — a kłaniał się w pół". Niestety jak i wszystko, tak i to przedstawienie musiało się skończyć, bo czas był po temu. Wszyscy wyszli zadowoleni w różowych humorach „chwaląc sobie" św. Mikołaja. Przed Gimnazjum spotkałem tego, który poszedł do kina nie wiedząc, że w dniu tym były dwa przedstawienia i że w Gimnazjum gościmy tak świetnego gościa. Spojrzałem na niego, był taki sam jak i przedtem — smutny, ponury. Widać, że nie był na św. Mikołaju, bo tam wszystkich obdarzono jednym, wielkim, niezapomnianym, cudownym podarunkiem — humorem. Swięty Mikołaj odleciał na swoim samolocie, a my pamiętajmy o tym podarunku. — Nie zgubić go! *Sam.*

Nasze radio.

Jest wiele miłych wspomnień z dziejów naszego życia szkolnego, które długo tkwią w naszej pamięci. Jedne wspomnienia zostały podane nam przez starszych kolegów, którzy dłużej w tych murach szkolnych przebywali, inne to takie,

które sami przeżywaliśmy. Jest wiele trwałych pamiątek, potwierdzających pracę społeczną, tę pracę, która w wolnych chwilach odrywa nas od nauki i zdaje się być rozrywką, chociaż czasem jest bardzo żmudnym zajęciem. Pamiątkami tymi są tablica Naszego Wskrzesiciela, pamiątkowa tablica założyciela orkiestry, gazetka — to zwierciadło minionych czasów, dyplomy zwycięstw różnych wyczynów i sprawności i wiele innych... Wszystko to do nas przemawia i zachęca do pracy, która jest wartościową i pobudzającą do dalszych czynów. My w tych teraźniejszych czasach szkolnych przeżywaliśmy również może jeden z najdroższych dni życia społecznego w naszym „państwie szkolnym“ — który dziś stał się miłym wspomnieniem. Dniem tym, to dzień 7. XII w którym odbyło się uroczyste otwarcie naszego radia.

Jakżesz radosną była ta chwila, gdy oczom naszym okazał się duży i piękny odbiornik radiowy Philipsa. Na pierwsze słowa kuratora Samorządu p. prof. Kunisza Władysława, który dokonał otwarcia, w obecności p. Dyrektora i Grona proferorskiego, brakło wszystkim tchu w piersiach, serçe każdemu kołatało w piersiach jak ptak zamknięty w klatce. Na twarzy naszego Kuratora również malowała się radość, który zawsze chętnie służył nam mądrą radą i pomocą. Na widok radia początkowo niektórzy byli zdziwieni, że mogli w tak krótkim czasie zdobyć się na taką potęgę czynu...

Oto w dniu tym okazało się, że i my możemy wiele zdziałać jeśli okaże się chęć, silna wola, zapał i miłość do pracy... Cieszyliśmy się wszyscy, jakżesz błogo było na duszy i sercu tym, którzy zasługami i chętną pracą zespołową mogli przyczynić się do tego dzieła, które jest niewątpliwie bardzo pożyteczne i godne uznania (czym jest radio w życiu inteligentnego człowieka o tym wie każdy.) Myśl kupienia radia pojawiła się na pierwszym tegorocznym Zebraniu Zarządu Samorządu. Poruszyła ona odrazu umysły wszystkich zebranych.

Początkowo okazała się bardzo trudną do zrealizowania i miała nawet mało zwolenników. Z biegiem czasu liczba

ich poczęła poczęła wzrastać. Pierwszą imprezą na ten cel był urządzony metch siatkówki międzyszkolnej, a za nim poszły różne przedstawienia, wieczorki, zabawa, zawody strzeleckie itd. Pociągnęły one za sobą dużo chętnych i okazały ich wielką zdolność i oryginalność pomysłów. Czyż te różne przedstawienia czy kulisy naszej sceny, dekoracje zabawy wijące się przepięknymi barwami nie wprowadziły nas w podziw? Widzieliśmy to wszystko i przeżywaliśmy. Zrodzona myśl przerodziła się w czyn — czynem tym radio, którego z przyjemnością każdy z nas słucha, jeśli tylko czasu zbywa. Głośniki zainstalowano w czytelni i w świetlicy... Zauważono, że radia słucha najwięcej kolegów z tych klas, które już urządziły imprezy na ten cel, inni nie mają jeszcze tak wiele czasu, bo widocznie głowią się nad zdobyciem dalszych funduszów. W każdym razie radio gra... jego miły przyciągający głos już każdy słyszał....

Szyngiera Karol ucz. kl. VIII b.

Kolonie to źródło dobrobytu.

Od najdawniejszych czasów morze odgrywało doniosłą rolę w rozwoju społeczeństw. Spośród narodów dążących do ustalenia form swego bytu państwowego, te które mieszkały nad morzem i umiały korzystać z leżącego przed nimi gościńca światowego, pierwsze okrzepły i doszły do wielkiego znaczenia. Z jednej strony hart ducha, przedsiębiorczość i inicjatywa zdobyte w walce z żywiołem morskim, z drugiej zaś — poznanie i zdobycie nowych krajów (kolonii) tworzyły podstawy do silnej ekspansji zarówno gospodarczej jak i politycznej.

Rozległe rynki kolonialne, zapewniały i zapewniają nadal państwom samowystarczalność gospodarczą, nietylko podczas wojny, ale i podczas pokoju, a tym samym wzmacniając jego potęgę. Polska jednak pozostała daleko w tyle za innymi narodami. Dziś, gdy ze światowej zawieruchy wojennej, po blisko 130-letniej niewoli, odrodziło stę Państwo Polskie - dziś, gdy już przeszło okres organizacyjny, okres

kształtowania się na każdym polu, czyto politycznym, gospodarczym czy socjalnym, praca narodu objąć musi i zagadnienia kolonialne. Dziś przed nami jasno stają wielkie potrzeby, potrzeby rozwijającego się narodu.

Ponura rzeczywistość nędzy, bezrobocia, deficytów budżetowych państwa, samorządów, rodzin, sprawiły to, że naród docenił należycie znaczenie kolonii dla nowoczesnego mocarstwa i postawił jako jedno z haseł — konieczność posiadania przez Polskę koloni. Potrzebne one są Polsce, jako wielkiemu państwu: 1) dla uzyskania terenów dla naszego wychodźctwa, 2) dla uzyskania nowych źródeł surówców i 3) dla stworzenia nowych rynków odbiorczych dla naszych towarów.

Nasz handel ze wszystkimi krajami zamorskimi kształtuje się wybitnie niekorzystnie. Saldo ujemne handlu zamorskiego, za ostatnich 11 lat wynosi kolosalną sumę, bo blisko 4 miliardy zł. (Obecnie jest pewna poprawa w naszy bilansie handl.) Za tę globalną sumę można było wszystkie błota, bagna i nieużytki w Polsce zamienić na uprawne pola, łąki, pobudować asfaltowe i betonowe drogi, uregulować rzeki i skończyć wreszcie z tą nędzą tych biednych Kurpiów i Poleszuków.

Gdybyśmy posiadali własne kolonie, gdybyśmy stamtąd sprowadzali choćby tylko część potrzebnych nam surowców, to sprawa przedstawiałaby się zupełnie inaczej. Na rynku wewnętrznym, moglibyśmy wydatnie obniżyć ceny szeregu artykułów, co niewątpliwie przyczyniłoby się do wzmożenia konsumcji i ożywienia życia gospodarczego. I te wszystkie właśnie przyczyny, zmuszają nas do podjęcia akcji kolonialnej.

Potrzebne są nam te nowe tereny, na których polski chłop, robotnik, rzemieślnik, oraz polski inżynier, lekarz — znaleźliby nowe warsztaty pracy, warsztaty, których obecnie im kraj zapewnić nie może.

Nie ulega jeszcze wątpliwości, że powstałyby wielkie przedsiębiorstwa eksploatacyjne i że zagospodarowanie tych kolonii nastąpiłoby w krótkim czasie — czego sobie wszyscy życzymy.

Harmata Marian kl. VIIIa.